

Janda dźwignią sztuki

TRZY DNI PRZED SPEKTAKLEM W TVP BYŁA KLĘBKIEM NERWÓW. Współpracownicy bali się, że wybuchnie. Ale ona po raz kolejny dowiodła, że umie robić rzeczy niemożliwe. Ożywiła umierającą sztukę teatru telewizji. A nawet więcej: skłoniła masy, aby zainteresowały się kulturą.

ALEKSANDRA PAWLICKA,
ANITA ZUCHORA

Aż 2,7 mln Polaków zasiadło przed ekranami w ubiegły poniedziałkowy wieczór, gdy Krystyna Janda wraz z zespołem swojego teatru Polonia grała na żywo przed kamerami „Boską”. Okazało się, że teatr może przyciągnąć więcej widzów niż mecze piłkarskiej kadry narodowej. W telewizji, w której od lat królują serialowa szmira i licytacja na programy rozrywkowe, show niespodziewanie skradli przedstawiciele kultury wyższej. Można powiedzieć, że dzięki Jandzie teatr trafił pod strzechy. Teatr Telewizji takiej widowni nie miał od 11 lat.

Scena jak afrodyzjak

Na trzy dni poprzedzające telewizyjną transmisję zamknęła się z aktorami w teatrze. Aktorzy musieli od nowa zacząć próby sztuki zgranej do bólu. Wystawili ją już kilkakrotnie. Ale teraz mieli grać nie „przez rampę” do widzów, tylko do ośmiu kamer. Inaczej się porusza, inaczej mówić, by nie przerysować postaci i zachować autentyczny przekaz.

– To nie było pyknięcie, ot, wyszli i zagraли. To było przewalanie góry, a dla Krystyny – ekstremalne nerwy. Widziałam, że od tych nerwów była cała sparaliżowana, aż do chwili, gdy wyszliśmy na scenę i zaczęła się transmisja – mówi Maciej Stuhr, partner Jandy w „Boskiej”, ale także człowiek znający ją od dziecka. Krystyna Janda przyjaźni się z jego ojcem Jerzym Stuhrem. Obie rodziny spędzały razem wakacje, rodzice występowali we włoskich teatrach.

Po poniedziałkowym spektaklu aktorzy wypili tylko lampkę szampana i pojechali do domów. Żadnego rautu ani świętowania.

Wraz ze stresem uszło z nich powietrze. Kiedy następnego dnia stawili się w teatrze, by znów zagrać „Boską”, tym razem tylko dla teatralnej widowni, myśleli, że nie dadzą rady. Wszyscy z wyjątkiem Jandy, na którą scena działa jak afrodyzjak.

Niedawno obliczyli, że daje 300 przedstawień rocznie od 30 lat. Potrafi mieć równocześnie osiem dużych ról w głowie. Stworzyła ponad 200 kreacji. I tylko raz zdarzyło się jej nie wyjść na scenę. Gdy zemdleła przed spektaklem i dwie godziny później znalazła się na stole operacyjnym.

Nawet choroba nie jest dla niej usprawiedliwieniem nieobecności w teatrze. Gdy miała półpasiec, leżała w szpitalu pod kroplówką, ale wieczorami z wenflonami jechała grać, aby po spektaklu wrócić do płynących prosto w żyłę antybiotyków. – To kwestia szacunku dla widzów – deklaruje.

Niedawno stwierdzono u niej problemy z kręgosłupem grożące niedowładem nóg. Przyznała dziennikarzom: „Mam ćwiczyć, bo kwalifikuję się do operacji, a tę operację u mnie trzeba by robić w okolicy strun głosowych od przodu. Mam zrobić wszystko, żeby jej nie było”. Jak na razie to wszystko oznacza u niej pracę bez opamiętania.

„Boska” jest dla niej szczególną sztuką. To ją grała w styczniu 2008 r., w dniu śmierci męża Edwarda Kłosińskiego, z którym przeżyła 27 lat. Nawet wtedy była w teatrze, chociaż, jak przyznaje, pamięta tylko swój obraz w garderobianym kustrze, przed którym siadła w różowym peniuarze. Jak wyszła na scenę i jak grała – tego już nie pamięta.

Kobieta z marmuru

Do szkoły teatralnej trafiła przypadkiem, bo poszła z koleżanką na egzamin jako osoba towarzysząca. Koleżanka wybiegła z egzaminu z płaczem. – Wkurzona stanęłam przed

komisją i powiedziałam, że to jest skandal, by po dwóch godzinach czekania kazać komuś śpiewać. Wtedy usłyszałam: „A może pani by chciała zdawać?”. „Ja? Wykluczone!” – opowiadała w jednym z wywiadów, lecz przyznała, że ziarno zostało wtedy zasiane.

Zbigniew Zapasiewicz, gdy trafiła do szkoły teatralnej, zawyrokował: – Z niej to będzie geniusz albo kompletne zero, jakieś dno.

Profesor Janina Romanówna mówiła: – Umaluj się, bo wyglądasz, jakbyś przed chwilą rzygała. Kto będzie chciał się z tobą całować?

Janda miała wtedy krótko obcięte i pomalowane na czerwono włosy.

Pierwszą rolę dostała u Andrzeja Łapickiego w reżyserowanym przez niego „Portrecie Doriany Graya”. – Ojciec mówił o niej już wtedy: wielka osobowość, pali się w niej ogień. W „Dorianie” grała tytułową rolę, chłopca. Była wyrazista, dynamiczna, świetnie wyglądała, miała chłopcęją figurę i ciekawe rysy. Na spektakl przyszedł Andrzej Wajda, który szukał aktorki do „Człowieka z marmuru”. Zobaczył ją i powiedział: „Mam bohaterkę mojego filmu, to ona” – wspomina Zuzanna Łapicka, prywatnie przyjaciółka Jandy.

Do dziś taka pozostała: wyrazista, dynamiczna. Właśnie za to ją kochają widzowie – za autentyczność. Nie udaje młodszej, piękniejszej, nieomyślnej. Na przedstawieniu potrafi się przyznać, że zapomiała roli i potrzebuje tekstu, ale wtedy publiczność podpowiada jej dalszą kwestię, bo ludzie na jej spektakle chodzą po kilka razy.

– Janda jest konsekwentnie taka sama, od kiedy pierwszy raz pojawiła się publicznie. Zawsze miała taki nerw codzienności, współczesności: za każdym razem była to kobieta nam bliska, sąsiadka, współpracowniczka. Nie heroina, ale ktoś, kogo dobrze znamy – mówi szef Instytutu Teatralnego Maciej Nowak.



”

Janda to nie tylko aktorka,
ale i cała instytucja teatralna
– mówi krytyk Tadeusz Nyczek

